



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

7158
W79W7
1898

Wysocki
WSZYSCY ZA JEDNEGO!

STANFORD
LIBRARIES





W księgarni i składzie nut
Leona Idzikowskiego w Kijowie
są do nabycia następujące książki:

GAMASTONA:
LAMPARCIE ŻYCIE.

Opowiadanie ze wspomnień studenckich.
Wydanie drugie. Kijów, 1895. Cena 1 rs. 80 kop.

FATA-MORGANA.

Opowiadanie ze wspomnień szkolnych.
Wydanie drugie. Kijów, 1895. Cena 1 rs. 20 k.

J. B. Kutylowski.

POEZYJE.

Kijów 1885. Cena 75 kop.

Czego pan Wincenty jeździł do Zielongrodu i z czem powrócił. Kartka z podróży. Wydał W.... Kijów 1889.
50 kop.

Ostatni Sejmik. Województwa Braclawskiego ze współczesnego rękopisu dosłownie przepisał Piotr Jaxa Bykowski. Warszawa 1885. Cena rs. 1.

Jan Sobieski do dwudziestego roku życia. Napisał Julian B. Kijów 1884. Cena 80 kop.

Krótki katechizm dla młodzi Rzymsko-katolickiego wyznania, uczącej się w naukowych zakładach w Rosyi. Za **Najwyższym** rozkazem ułożony i wydrukowany. Kijów 1880. Cena 15 kop.

Ojciec córkom. Przez Spiridyona Ostaszewskiego 2 tomy. Tom 1 rady i przestrogi dla dziewcz. Tom 2 dla mężatek. Cena uprzednia rs. 2 k. 70. Cena zniżona rs. 1 k. 20.

Gramatyka polska w ćwiczeniach przez Wiktorynę Korwinównę. Kijów, 1889. Cena k. 60.

Wm. A. Brown

55 25

at 1/11

RECEIVED BY THE



—

WSZYSCY ZA JEDNEGO!

FRASZKA.

N A P I S A Ł

Włodzimierz Wysocki.

WYDANIE CZWARTE.

**STANFORD
LIBRARIES**

K I J Ó W.

Nakładem Księgarni Leona Idzikowskiego.
1898.

24-111
1897

Дозволено цензурою, Кієвъ 7 Мая 1897 г.



КІЄВЪ,
Тип. С. В. Кузьменко, Ново-Елпав. ул. собств. д.
1897.



PROLOG.

Wstęp à la Malczewski.—Wyprawa arendarza Elka.—Rozmowa z dziedzicem Obij—boków.—Kombinacje i plany dyplomatyczne.

Ej! ty, co przygarbiony siedząc na swej bidzie
Chłostasz szkapę zawzięcie,—gdzie pędzisz tak żydzie?
Czy gonisz pana Pawła, twojego dłużnika,
Co jak kureczę z pod noża—z rąk ci się wymyka?
Czy może od rekruta zmykasz pokryjomu?
Czy śpieszysz, by na szabas koniecznie być w domu?...
Boś i pejsy rozpuścił na wiatrów swawolę,
I kołpak desperacko drży na twojem czole,
A tak cmokasz i wiokasz a walisz po szkapie,
Która się ledwie wlecze, ale mocno sapie!...
I głucha na cmokania i na razów krocie,—
Apatycznie kopyta topi w czarnem błocie...

Czasami tylko, gdy bat utnie ją zbyt raźnie,
Wzniesie ogon zbłocony i twarz twoją maźnie!

Nie zważasz na bezdroże, ni na złą pogodę,
Która deszczem jesiennym rosi twoją brodę
I malując twe lica brudne błotem świeżem,
Strugą czarną zagłada, co masz za kołnierzem!...

*
* *

Tak jedzie pan arendarz ze wsi Obij—boki,
W sprawie ważnej a pilnej, nie cierpiącej zwłoki,
Elko Zusman, ze sprytu w okolicy znany,
Prawa ręka dziedzica, faktor zaufany.
A pośpiesza niezwykle (snać mało ma czasu)
Bo oto już wiorst siedem jedzie bez popasu!
Elko pańskich rozkazów nie może zaniechać:
Dziś jeszcze do miasteczka powinien dojechać,
Obaczyć się z żydkami, poszwargotać,— wreszcie
Dostać u nich dla pana rubli choć ze dwieście...

Jedzie Elko, rozmyśla, czy mu się to uda:
Pan dawno stracił kredyt, lecz bywają cuda...
Wczoraj go pan zawołał i rzekł: »Słuchaj, żydzie!
Mam ja kłopot nielada... o mój honor idzie!
Pojutrze dzień imienin wypada imości,

Ma być feta, zebranie, ma być dużo gości,
 Jak i w latach poprzednich... lecz—pożal się Boże!—
 Czem przyjmę moich gości, gdy pustki w komorze!
 W piwnicy—jak by wymiół!... w kieszeni—hołota!
 Czyż dla tego przed nimi mam zamykać wrota,
 Albo przyjąć i postnym uraczyć krupnikiem!
 O! nie, nie jestem jeszcze takim nikczemnikiem!...
 Wiem, co jest obowiązek! wiem co dobra sława!...
 Pojutrze—słyszysz Elku?—musi być zabawa!
 I dla tego—uważasz—nie trzeba nic więcej,
 Tylko«...

»No, ja wiem! panu potrzeba pieniędzy!
 Panu zawsze potrzeba! lecz«...

»Milcz! ani słowa

Zkąd wziąć i gdzie pożyczyć—w tem już twoja głowa
 Weź ten weksel na trzysta rubli wystawiony
 Z podpisem własnoręcznym moim i mej żony,
 Sprzedaj go choć za dwieście... pal diabli mą stratę!...
 Za to kup wina, cukru... oto masz notatę!
 Wiem ja, że bismarkowską głowę masz na karku,
 Więc gracko mi się sprawisz, pejsaty *Bismarku!*
 Przytem trzeba ci wiedzieć, że mam wielkie plany:
 Nie o samą zabawę idzie, mój kochany!
 Wiadomy ci ten Pfejfer, niemiec, kolonista,
 Wiesz, że jestem dziś w ręku tego antychrysta:
 Pożyczyłem od niego, (snać mię djabeł skusił!)
 A oddać—niema z czego... niemiec będzie dusił!

Już, słyszę, protestował, ... grozi licytacją,
 Niema żartów, mospkanie. z tą przeklętą nacyą!...
 Więc gdy się tutaj zjadą pojutrze sąsiedzi,—
 Wyznam wszystko przed nimi jakby na spowiedzi;
 Opowiem, jaki ciężki frasunek mię trapi,
 Ręczę, że się niejeden z pomocą pokwapi,
 Bo to jest obowiązkiem, bo to«....

«Jasny panie!«—

Rzekł żyd, kiwając głową—»po co te gadanie!
 Niewiem, co pan zamierza, na kogo pan liczy:
 Pan wie, że Elko panu bardzo dobrze życzy...
 Lecz wie pan co ja powiem?... nie z tego nie będzie!
 Bo ja, co tu od dawna siedzę na arendzie,
 Znam tu wszystkie panowie od głowy do pięty,
 Wiem, że każdy z nich goły, jak turecki święty«!...
 —»A pan Waclaw Opolski? wiesz, ten co w Korczówce?
 Ten jest człowiek zamożny, siedzi na gotówce«....
 —»No, ja wiem! cóż pan myśli,—on pana wykupi?
 Przepraszam jaśnie pana! on nie taki głupi!
 Choć on jest bardzo dobrym i zacnym sąsiadem,
 Lecz on wie, że pan pola zasiewa pośladem,
 Że klepki dawno niema, sosnina wycięta,
 Że jasny pan ma bardzo kiepskie remanenta,
 Że w stodole ni ziarnka!... wszystko wyprzedano...
 Że rzepak nie urodził, że pogniło siano,
 Że młyn ot... ot! się zwali:—stary i nie miele,
 Nakoniec, że u pana długów, strach, jak wiele!«...

—»Stul pysk, parchu!... patrz mi go!... kaznodziej!...
a zasię!!...

Wiedz o tem, że pan Waclaw do mej córki ma się!
 Więc rozumiesz?... on pewny! drudzy także dadzą,
 Wreszcie, dadzą, nie dadzą—może co poradzą.
 Ruszaj że mi natychmiast!... a pamiętaj zboczyć
 Do tego szoldry: zbadaj, czy zechce odroczyć
 Na dwa lub trzy tygodnie termin na wypłatę,
 Wszak nie o byle jaką proszę prolongatę!«...
 W ważnej więc, jak widzicie, sprawie Elko jedzie
 Do miasteczka, co mglisto wygląda na przedzie.
 Przed nim droga błotnista, niby czarna struga,
 Wije się jak gadzina, a straszliwie długa!
 Nad nim ciężkie, matowe niebo ołowiane;
 Na niem chmury, jak szmaty brudne, zaszargane,
 Płaczące chłodnym deszczem i drobnym jak z sita!...
 W te niebo i w te szmaty ziemia upowita
 Wygląda jak żebraczka, co wstała z rynsztoka
 A z niej płynie strumieniem błotnista posoka!...
 Po obu stronach drogi, na prawo i lewo
 Gdzie niegdzie stoi kwaśne i przemokłe drzewo,
 Z którego wiatr zdarł liści poźółkłych ostatki;
 Stoi smutne, jak bankrut, co stracił manatki!
 W około nigdzie życia, wszystko tchnie mogiłą,
 Wszystko niby umarło... prócz Elka z kobyłą,
 Który się tu w kalużach rozpaczliwie szłapie,
 Raz—wraz batem dodając animuszu szkapie.

Już Elko coraz dalej..... prędko z oczu zginie.....
Już jak pająk się czerni na mgły pajęczynie.....
Coraz mniejszy.... to mignie, to znowu się skryje....
Nakoniec się zanurzył we mgły, jak w pomyje!...

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Wieś Obij—boki.—Zagadnienia filozoficzne.—Krótka biografia p. Wincentego Wątroby. Dobre chęci.—Złe skutki.—Przygotowania do balu. Spór z Elkiem.—Bal.—Przemówienie p. marszałka Rury.—Kwestya kolonizacyi niemieckiej i sądy o niej.—Przemówienia innych gości.—Pan Ryczywół opowiada o nowym wynalazku p. Cholewy.—Pomysł p. Marszałka.—Oracyja p. Ryczywoła.—Przymierze szlachty.—P. Wątroba przemawia.—Na czem stanęło?

Piękny Wołyn ten zaszczyt posiada wysoki,
Że na nim leży wioska, zwana: Obij—boki!
Wioska wprawdzie niemąła, lecz i nie zbyt duża:
Jest w niej dwór prawie nowy, patrzący ze wzgórza
Jest cerkiewka niewielka z trzema wieżyczkami,
Drzewami osłonią, błyszcząca krzyżami;
Jest tu chat kilkadziesiąt chłopskich, rozrzuconych

Bezlądnie, i płotami z chrustu otoczonych;
 Jest staw ze starym młynkiem i z lichą grobelką;
 A wreszcie duża karczma, w której mieszka Elko.....
 Czy figiel to szatana, czy też wyrok boski
 Że bez żyda i karczmy u nas niema wioski?
 Ach! świat pełen tajemnic, o które się kruszą
 Teoryje uczonych i mózgi ich suszą!
 Kto jednak bada rzeczy z punktu *celowości*,—
 Ten do pewnych konkluzyj podąża najprościej!
 I sprawy najzawilsze, w największym odmęcie
 Rozstrzyga i do wniosków przechodzi w momencie....
 Ot, na przykład, z zagadnień zawikłanych wielu
 Rozwiążmy to pytanie: na co, w jakim celu
 Rozmnożył Bóg na ziemi takie podle twory,
 Jak pluskwy, pchły, i inne straszliwe potwory?

— »Na to, aby w człowieku nie ostygł zapal,
 By nie zgnuśniał i czasem sobie się podrapał!
 Lecz, żeby walcząc z pchłami, nie zginął w tej walce,
 Na to mu paznogciami Bóg obdarzył palce!
 Dalej już, konkludując w sposób darwinowski,
 Wyprowadzam ztąd proste i niezbite wnioski:
 Że gdyby wszów nie było,—naszych palców końce
 Nie miały-by paznogci.... co jasne, jak słońce!...
 Od tych tak ważnych kwestyj, wielce nam się przyda
 Przejść się analogicznie do karczmy i żyda.....

Lecz, może, dajmy pokój! po co się tam trudzić!...
Boję się czytelników filozofją znudzić;
Rzucam więc wszelkie mądre i niezbite wnioski
I pośpieszam do dworu dziedzica tej wioski.

Na mocy praw dziedzicznych, z dziada i pradziada
Pan Wincenty Wątroba wioskę tę posiada.
Miał jeszcze dwa przysiółki, a w nich dwa folwarki:
Jeden z nazwiskiem Rudki, a drugi Balarki.
Lecz gdy ciężkie nastały czasy—pan Wątroba
Odprzedał kolonistom te przysiółki oba,
Gwałtownie potrzebując jakoś gotowizny,
Z wielkim żalem poświęcił część swej ojcowizny,
Lecz czegoż w dobrej sprawie polak nie poświęci!
Pan Wątroba, sprzedając, miał w tem dobre chęci:
Najprzód, wzięwszy pieniądze, *chciał* pospłacać długi,
Później,—kupić żniwiarkę, skompletować pługi,
Inwentarz uzupełnić, ład, rygor, porządek
Wprowadzić i na nogi postawić majątek.
»Basta gnuśnieć i trwonić!... oszczędność i praca!...
Praca, mospanie..... tego..... człowieka z bogaca«!...
Tak powiedział naówczas sobie pan Wincenty;
A do głębi powagą słów własnych przejęty,
Czuł, że urosł i wielce ucieszył się sobą
Więc się w duchu pochwalił: »zuch jesteś, Wątrobo«!...
I utonął w marzeniach... jakże słodko marzył

O tem, jak już gorliwie będzie gospodarzył!
 Jaki ład zaprowadzi w domu, na folwarku,
 Jak wszystko będzie *strikte*, sprawnie, jak w zegarku!
 (Bo sam w kąć każdy wglądnie, polaje, napędzi.....)
 Jak rozechody swe zmniejszy, jak się zaoszczędzi,
 Jak, nareszcie, przysiółki od Niemców odkupi,
 Gdy pracą, oszczędnością trochę grosza skupi!...

O! »dobre chęci« nasze! o! najlepsze cele!
 Któż was—jak my, Polacy—posiada tak wiele?!
 O! szczytne chęci polskie, czynami jałowe!
 Działki nasze rodzone, chwasty narodowe!...
 Jak bujnie w sercach naszych i głowach rośniecie,
 I jak nam z wami dobrze na tym bożym świecie!...
 Gdyby was, »dobre chęci«, nie było, broń Boże,
 Któż by kark nasz opasły ozdobił..... w obrozę!!...

Wybaczenie czytelnicy!... jakoś mimowoli
 Wpadłem na ton niezwykłej dla mnie melancholji...
 Takie to były chęci u pana Wątroby:
 Zaprzątniętą miał niemi głowę aż dwie doby;
 Myślał, dumiał, coś liczył, coś głęboko badał,
 A gdy się żonie z myśli swoich wypowiedział,—
 »Wiciu!—rzekła, podniosłszy wzrok melancholyczny—
 Przynaję, że twe chęci, że twój projekt śliczny!

Praca,—mówisz,—oszczędność... piękne to, ni słowa!
 Oszczędzać się, pracować, jam także gotowa!
 Wiesz wreszcie, że lubilam i dziś lubię pracę...
 Oszczędność!... wiesz, mój Wiciu! że ja głowę tracę,
 Gdy myślę, co to będzie!... Józia już dorasta;
 Warto by choć na krótko zawieźć ją do miasta,
 Wprowadzić w świat i ludziom pokazać koniecznie:
 Nie może młoda panna w domu siedzieć wiecznie!
 Sam przyznaj, że gdy na wsi będzie nam zamknięta,—
 Nie będzie mieć poloru, ani konkurenta!
 A przytem, mając pannę, koniecznie wypada
 W dom zaprosić jednego, drugiego sąsiada...
 Tylko jakże przyjmować w takim lichym domu,
 W jakim dzisiaj mieszkamy?... Wątpię ja, czy komu
Z porządnijszych, chęć przyjdzie przestąpić te progi!...
 Dla tego też koniecznie potrzeba, mój drogi,
 Nowy dom pobudować, meble odpowiednie...
 Czegoż tak patrzysz dziwnie? to wcale nie brednie!
 Prawda, że to wydatki niemałe pociągnie;
 Ale tem pewna przyszłość dziecka się osiągnie!
 A gdzie idzie o dziecię... gdzie o takie cele,
 Tam nigdy ni poświęceń, ni ofiar za wiele!«...
 Tu lży się jej puściły z oczu naostatek.. ...
 Ach! bo wiecie zapewne, czem jest serce matek!

Niemiał by pan Wątroba czucia odrobiny,
 Gdyby na takie *dictum* pani Wątrobiny

Obojętnym pozostał! Więc się żwawo sprawił:
Co prędzej żonę z córką do miasta wyprawił,
Potem zburzył dwór stary i rozpoczął nowy....
Osobiście pilnując tak ważnej budowy,
Okrutnie był zajęty!... a więc nie czas było
Patrzeć, co się tam w polu, co w gumnie robiło,
W jakim stanie majątek, narzędzia, inwentarz:
Tego patrzył ekonom i Elko arendarz.
Długi płacić odłożył na czasy późniejsze,
Zapłacił tylko nagle, to jest: długi mniejsze,
(Bo z praktyki to wiedział: »im kto mniej pożyczycy
Tem później mocniej łaje i tem głośniej krzyczy«...)
Wreszcie temu, owemu, zapłacił procenta;
W ten sposób na czas jakiś pozbył się natręta.

Tak stały interesa!... Dom już-już dorastał,
Gdy zacny pan Wątroba gotówkę przeszastał!
Widać--się przerachował... a tu dom nie gotów,
Jak radzić i co robić wśród takich kłopotów?
Rozumie się: pożyczyc! gdzie? kwestya wielka!
Którą mogła rozwiązać tylko głowa Elka...
Ten udać się poradził do Niemca Pfejfera,
Co ziemie skupowuje, tranzakcyę zawiera
W imieniu kolonistów, których jest agentem.
(Znajomym już od dawna był z panem Wincentym:
On to kupił przysiółki, gdzie Niemców posadził).

Uczynił pan Wątroba tak, jak Elko radził.
 Pfejfer chętnie pożyczył; lecz niemczysko zdradnie
 Wziął od pana Wątroby formalną »zakładnę«
 Na wioskę Obij—boki, i na termin krótki.
 A przyczem wręcz objawił niemiec bez ogródki,
 Że jeśli się w terminie okaże nie płatnym,—
 To weźmie wieś natychmiast, bo jest akuratnym!

Dzięki takim ofiarom dzisiaj dom ten stoi.
 W niem jest osiem czy dziesięć obszernych pokoi
 Z nowiutkimi meblami, a nawet posadzką.
 Z pozoru wszystko piękne, błyszczące jak cacko;
 Lecz klecone z pośpiechem, z surowego drzewa,
 Dziś się paczą już ściany: to prawa, to lewa,
 I coraz nowe szpary wyłazą z pod tynku...
 Nakoniec—djable chłodno w tym pańskim budynku.

* * *

Niezwykle tu się krzącą dzisiaj od poranka
 Wątroba z Wątrobiną, nawet Wątrobianka?
 Słysząc ciągle rozkazy, donośne lajania,
 Służba po domu całym zwija się, ugania:
 Ten posadzkę szoruję, ów trzepie dywana,
 A ówdzie z mokrą ścierką dziewczka podkasana
 Wyciera okien szyby, by świeciły jaśniej...
 Coś pada, coś się tłucze, to drzwiami ktoś trzaśnie...

A w kuchni jak by w piekle (ja nie byłem w piekle,
 Ale o niem ksiądz proboszcz tak prawil rozwlekle,
 Tak mówił szczegółowie o tój strasznej łaźni,
 Że mam je, jak na dłoni, w swojej wyobraźni!)
 Jak w piekle więc dziś, taki ogień w kuchni bucha!
 Kucharz w białej szlafmycy, z fartuchem u brzucha
 I inni dwaj wyrostki w pomoc mu dodali
 Zwijają się przed ogniem, jak istni szatani!
 (Chcą dziś godnie wystąpić z kulinarną sztuką)
 Trą w makutrach zawzięcie i w moździerzach tłuą...
 Coś się tam w rądlach skwarzy, i patelnie syczą.
 Gdaczą kury pod nożem i prosięta kwiczą,
 Jako w kotłach piekielnych duszyczki człowiecze,
 Gdy czart we wrzącej smole smaży je i piecze!

Tymczasem inna scena również hulaśliwa
 Na przeciwległej stronie domu się odbywa:
 Tam pan Wątroba Elka wziął w swoje obroty:
 —A to psiawiary!—krzyczał—to szelmy! huncwoty!
 Chcą mię puścić z torbami! obedrzeć ze skóry;
 Za trzysta dać sześćdziesiąt... jeszcze procent z góry!...
 Czy to kto słyszał kiedy?... a toś mi się sprawił
 Szachraju ty nikczemny! bodajś się udlawił!...
 I ufaj-że tu żydom!... wszyscy wy lajdaki!...
 —No? chwalić pana Boga, że się znalazł taki,
 Co i to dał!... pod chejrem! czego pan tak krzyczy?
 Pan wie? dziś takie czasy... dziś nikt nie pożyczę;

Bo wiadome u panów dzisiejsze zwyczaje:
 Że gdy który pożyczczy, to już nie oddaje!
 —Wykręty! rzekł Wątroba—a wina? szachraju!
 Przywiozłeś jakąś lurę na miejsce tokaju!
 —No? no? dla czego lura? Co złego w tem winie?
 Czyż lepsze kto dostanie w tej lichej mieścinnie?
 A wreszcie, wie pan co? ja panu sposób wskażę,
 Jak je można poprawić: niech pan przelać każe
 To wino do butelek starych, zapleśniałych,
 Z dawniejszych win w piwnicy pańskiej pozostałych;
 Gdy panowie obaczą te stare butelki,—
 Wyszuszą z wielkim smakiem wszystko do kropelki
 I bardzo chwalić będą, że wino rarytne!...
 —A prawda, Elku! zawsze masz ideje sprytne,
 Niezawodnie tak zrobię, jak mi radzisz, żydzie!
 Bo przecież przedewszystkiem o *decorum* idzie!
 I tym nowym pomysłem tak się udobruchał
 Że już spokojniej dalsze relacje słuchał.
 —No! a Niemca widziałeś? będzie prolongata?
 At!—rzekł Elko—z tym Niemcem tylko czasu strata!
 To nie człowiek, to kamień! on gorszy od żyda!
 Z nim mówić, jak ze sciana: na nic się nie przyda!
 —Cóż powiedział, gdyś jemu o mym długu powiedział?
 —Powiedział *dummer polak!*—i z tem mię odprawił...
 —Cóż to: *dummer* po polsku? pewnie *dumny* znaczy?
 —Dumny? nie!... ono będzie coś, niby inaczej...
 At!....

Westchnął pan Wątroba, spuścił łysą głowę
I na tem dziś zakończył swą z Elkiem rozmowę.

*
* *

Na to się dziś musiało niebo wypogodzić,
By gości nie odstraszyć, zabawie dogodzić:
Bo wiadomo, że nawet i nieba łaskawe,
Kiedy chodzi polakom o.... jaką zabawę!
A więc ku wieczorowi, po trzydniowej słońce
Niebo się przejaśniło... i na niem gwiazd krocie
Lśnią się skrami brylantów, rubinów i złota!
Ich blaski takie ciche miękkie, jak pieszczota
Lubych spojrzeń kochanki!.... Wysoko migocą!...
Wtém jedna leci na dół, jak rzucona procą,
Przeszywa lotem szybkim otchłań przepaścistą
Miota iskry i wstęgą żarzy się ognistą....
Lecz nim ziemi dobiegła,—zagasła w jej mroku,
Jak gaśnie promień słońca w martwym trupa oku
Już i księżyc wypłynął, na niebie zawisnął
I na drzemiącą ziemię snop promieni cisnął.
Wnet mrok wyłonił kształty dziwne, niespodziane,
Jak zbudzone pamięcią dawne sny wspomniane!
O zarysach niepewnych, nikłych jak marzenie,
Ślizgają się po ziemi powłóczyste cienie.....
Mgła, jak srebrna zasłona z pajęczej tkaniny
Podnosi się nad stawem, otula niziny
I sieje drobnej rosy kryształiki szkliste,

Od której drzewa, łąki, zdają się srebrzyste....

.....

Tak jasno dziś siedziba świeci Wątrobowa,
 Ze niech się przed nią gwiazdy i sam księżyc schowa!
 Ze wszystkich okien biją blaski czerwonawe,
 Od których, niby pasy długie i jaskrawe
 Ścielą się na dziedzińcu. Razem z temi blaski
 Donoszą się na zewnątrz gwar, śmiechy, oklaski,
 I dźwięki fortepianu, tupania rytmiczne,
 Głosy cienkie i grube,—głosy bardzo liczne.
 A później miłe brzmienie szklanek i talerzy....
 Snać goście już zasiedli do sutej wiecerzy,
 Bo coraz to głośniejsze słyhać wykrzykniki:
 »Zdrowie solenizantki, naszej dobrodziki«!....
 Przed oknami się kupi tłum dworskiej gawiedzi:
 Patrzy w okna ciekawie, bieg zabawy śledzi.
 Sercem ucztę wesolą podziela z panami,
 Duszą—tam!... tylko gęba została za drzwiami.. .
 Zjechali się i bliżsi i dalsi sąsiedzi
 Więc licze tu za stołem towarzystwo siedzi;
 Żwawo służba wciąż inne półmiski obnosi
 I napełnia kielichy... Co chwila ktoś głosi
 Nowe zdrowie!... u wszystkich na sercach radośnie;
 Rozmowa coraz żywsza, gwar wzmaga się, rośnie,
 Sypią się dykteryjki, koncepta, żarciki,
 Po nich śmiechy choralne, wiatatów okrzyki....

Wtem ozwał się milczący dotychczas pan Rura,
 Ex—marszałek powiatu, poważna figura,
 Który od panów szlachty swych i okolicznych
 Powszechnie czczonym był dla cnót gastronomicznych.
 Z nich najpierwej zasłynął, gdy był na urzędzie,
 (A lat temu dwadzieścia, pewnie, z górą będzie)
 Dziś niejeden z westchnieniem sobie przypomina,
 Jaką Rura miał kuchnię, jakie sławne wina!
 Jakie dawał Marszałek obiady, wieczory,
 Gdy chciał kłótnię zagasić, lub rozstrzygnąć spory!
 Dziewięć lat powiatowi wiernie kuchnią służył;
 Aż się całkiem zrujnował, po uszy zadłużył
 I został z jedną wioską... reszta gdzieś tam w brzuchu!
 Ale zacny Marszałek nie upadł na duchu.
 Dziś także dzielnie pije i za czterech jada.
 Ztąd-też respekt ogólny w powiecie posiada.
 Każdy więc z gości zamilkł i ucha nadstawił
 Gdy pan Marszałek powstał, odchrząknął i prawił:
 —Szanowni i przezacni współobywatele!
 Dziś jak wiecie, zostało nas bardzo nie wiele!.....
 Dawniej gdziebyś nie przybył, o jakiej bądź porze,
 Niezawodnie znalazłeś zabawę we dworze;
 Tam spotkał człek jednego, drugiego sąsiada,
 Więc się nowin nasłucha i sam się nagada;
 Bywałś się i najadł, napił i wyhasał,
 Żyło się—jednem słowem—jak pan Bóg przykazał!
 A dzisiaj, Boże mocny! jak wielka różnica!

Jakby nie ten sam powiat, nie ta okolica
 Co była dawniej!.... Nieraz miesiąc, drugi mija,
 Nim się zdarzy w powiecie jakaś okazyja,
 Jak ta dzisiejsza—dzięki zacnemu Wątrobie!
 Tak smutno teraz wszędzie, tak głucho jak w grobie!
 Z dniem każdym ubywają dawniejsi sąsiedzi,
 A w ich dworach najczęściej przybysz—niemiec siedzi!
 Naszej szlachty poczciwej coraz więcej ginie
 I powiat się wyludnia i zmienia w pustynię
 Na której mamy tylko gdzie niegdzie okazy
 Takie, jak dom Wątroby, gdzie choć kilka razy
 Do roku człek przed skwarem kłopotów się skryje,
 Przypomni lepsze czasy, lepiej zje, wypije.....
 Pozwól-że więc, kochany nasz panie Wincenty,
 Że twoją staropolską gościnnością tknięty,
 Wynurzę ci mą wdzięczność i mój hołd wysoki!...
 Niech żyje nasz Wątroba! Wiwat Obij—boki!—
 Wykrzyknął, wzniosłszy szklanę, pan Marszałek Bura,
 A za nim wszyscy chórem:—wiwat! wiwat! hura!!

Z kolei się odezwał pan Prokop Zawada:
 —Ach! wszystko to, niestety, prawdą, co powiada
 Nasz szanowny Marszałek... Setkami majątki
 Przechodzą w obce ręce! z nas tu ledwie szczątki
 Dawniejszych w tym powiecie prawych właścicieli;
 Reszta wszyscy zginęli!... wszystko djabli wzięli!...

I z każdym dniem, Panowie, biorą coraz więcej....
 A kto winien wszystkiemu? Bismark, panie!... niemcy!
 Bismark goni swych niemców, bo u nich ciasnota,
 Więc na nas się zwała ta cała hołota!
 Wkrótce wszystko co nasze ta zgraja przyswoi!...
 —Żadna siła przed niemcem, panie, nie ustoi—
 Zawołał grubym głosem Gaudenty Kowadło—
 Słuchajcie, co opowiem: Raz jakoś wypadło
 Pojechać mi do Zwiabla (miałem do sprawnika
 Interes); w drodze patrzę: stoi duża bryka
 Niemiecka. a w niej niemiec, niemka, dzieci czworo
 I betów co niemiara i rupieci sporo.
 Widzę, że niemiec pali fajkę, i mię chętko
 Wzięła... proszę więc ognia, a ztąd i gawędka;
 Pytam: zkąd, co i dokąd?... mówi: kolonista!
 Jedzie z Prus do Żabiniec, bo tam morgów trzysta
 Kupił lasu, gdzie sobie siedzibę zakłada.
 Pytam: ile zapłacił?... tyle, odpowiada.
 Hm! pomyślałem sobie—cena niezła wcale!
 Za jakieś tam czahary tak płacą wspaniale!
 Więc mówię mu... tak... żartem że i ja bym kawał
 Ziemi sprzedał, gdyby kto cenę taką dawał,
 Gdzie? jak? co?—zaraz pyta—daleko, czy blisko?
 A w końcu zapisawszy mój adres,—niemczysko
 Odjechał... później całkiem wyszedł mi z pamięci.
 Lecz tydzień nie upłynął—widzę, że się kręci
 Przed domem moim szoldra. Wychodzę—poznaję

I nie dawne spotkanie w pamięci mi staje:
Ten sam, a przy nim jeszcze dwaj nowi kamraci,
Wiem już, w jakim tu celu!... myślę: pal ich kaci!
Umyślnie im pokażę rudy, trzęsawiska,
Byle się w jakikolwiek sposób zbyć niemczyńska;
Myślałem, że nie kupią... Poszli, obaczyli
I gotówką, bez targu prawie, zapłacili!
Ale słuchajcie, państwo, co się stało potem:
Zaraz owe moczary otoczyli płotem
Tak, że nawet pies obcy nie mógł wleźć tamtędy!
Potem zaczęli kopać rowy, dreny, grzędy....
Ja, patrząc na ich pracę codzienną i trudy,
Myślałem: co ci głupcy chcą zrobić z tej rudy?
Przyznaję się, że szczerą miałem dla nich żalność,
Widząc te ich zabiegi i dziwną wytrwałość.
Bywało chłop nie jeden tędy się posunie,
Spójrzy, głową, pokiwa, potem z wzdardą plunie
I rusza, pomrukując: »ot! głupia niemota!
Napadła ich ochota pędzać djabłów z błota«!...
A dziś—czy uwierzycie?—gdzie były moczary,
Tam najpiękniejszy zasiew!... istne, paunie, czary!
Osuszyć takie bagna i w tak krótkim czasie,—
To chyba niemiec może, który z djabłem zna się!
Ztąd panowie wywódcie jakie chcecie wnioski,
A niemiec, mojem zdaniem, dla nas palec boski!...

Tak zakończył Kowadło. Powstała ogólna
Wrzawa nadzwyczaj głośna... śnać kwestya wspólna
Wpadła na młyn rozmowy... więc hałas się wzmacnia,
W twarzach miejsce uśmiechu zajęła powaga
Każdy żwawo coś mówi, rozprawia, roztrząsa,
Nawet sam pan Marszałek nie pije, nie kąsa,
Lecz, mając w jednej ręce nóż, w drugiej widelce,
Schylił się do sąsiada swojego i wielce
Zaperzony, dowodzi.... chociaż ten nie słucha
Bo sam panu Wątrobie coś wrzeszczy do ucha....
Wśród nawalnicy krzyków, wśród tej słów powodzi
Najczęściej słowo: »niemieć« do uszu dochodzi,

Na drugim końcu stoła, obok Wątrobianki
Siedzi Wacław Opolski i w twarz swej bogdanki
Patrzy okiem promiennem a pełnem zachwytu!
A Józia, piękne oczki wzniosłszy do sufitu,
Słucha stłumionej mowy i szeptów młodzieńca;
Śnać mile brzmią w jej uszku, bo płomyk rumieńca
Na śniadej jej twarzyczce coraz mocniej płonie
I serduszko, jak ptaszek, trzepocze się w łonie!
A gorsik coraz żywszym kołysze się ruchem,
Jako żagiel pod wiatru mocniejszym podmuchem!
Młodzieniec ciągle mówi, o coś pyta, bada....
Ona główki nieznacznym ruchem odpowiada.
Wtem wzrok spuszcza z sufitu i w twarzy Wacława
Utkwiła swą źrenicę.... ach, jaka jaskrawa!...

Młodzian drgnął, przysunął się, ujął rączkę skrycie,
 Rączka ciśnie.... a oczki znowu na suficie...
 I utonął w tych oczkach, jak w syropie mucha!
 Nie widzi nic przed sobą, ani rozmów słucha;
 W duszy jego się zbudził jakiś zarys nikły
 Nieznanej mu rozkoszy!... marzył, aż niezwykle
 Hałas, jaki był powstał po mowie Kowadła,
 Ocknął go i rozproszył uludne widziadła.
 Słucha, że setki razy, jak bomba wypada
 Słowo: «niemiec» z ust tego—owego sąsiada;
 Łapie luźne wyrazy, szykuje w porządek,
 Wreszcie kiedy pochwycił owej wrzawy wątek
 I pojął, czego krzyczą i gwałtują o co,—
 Powstał z miejsca swojego i przemówił z mocą:
 —Sami winni jesteście!... nie nam nie pomogą
 Żadne żale i skargi.... niemcy nas przemogą,
 Wywłaszczą nas, przygnębią, wsiądą nam na karku,
 Jeśli się nie obudzim z gnuśności letargu.
 Jeśli nasze potrzeby, obowiązki, cele
 Będziem sobie zasypiać, jak gruszki w popiele!
 Cóż dziwnego, że niemiec ręką swoją sięga
 Po to, co z wieków nasze!... Polak—niedołęga
 Czy umie tak jak niemiec, roztropnie a skrętnie
 Prowadzić swoje sprawy, żyć skromnie, oszczędnie?
 Czy idzie za postępem? Czy naukę śledzi?...
 Czy długo myśl poważna w polskiej głowie siedzi?...
 Umysł nasz ociężały, gnuśny i leniwy

Zdolny tylko na krótkie, chwilowe porywy,
 Które mi choć myśl błysnie i ducha rozpali,
 Lecz gaśnie, nim się wcieli i w czynie skryształi!
 I tylko po tych błyskach zostaje w polaku
 Buta,—jak czad durzący po spalonym kłaku!...
 Czem świecimy przed światem?... Niedoleżtstwem ducha
 Mazgajstwem, czczością głowy, objętością brzucha!
 Czyłożymy zasługi w dziedzinie nauki?...
 Ach! prawda!—trochę zasług jest na polu sztuki...
 Słyniemy także z tańców... nasze tańce górą!...
 I kuchnia słynna nasza... nasz barszcz polski z rurą!...
 Oto wszystko!... Któż winien, że nad nami wisi
 Groźna chmura zagłady ostatecznej... Dixi!...

Wtem głos straszny, jak piorun na niego zawoła:
 (A był to głos potężny pana Ryczywoła)
 —Kto swoich zbyt gani, a obcych wychwala,
 Podobnym jest do ptaka, co swe gniazdo kała!
 Nieszłuszne twoje sądy, mój panie Wacławie!
 Którymiś tak polaków uczcił nie laskawie;
 Pośpieszne swoje zdania rzucasz nierozważnie:
 Lżyć, osławiać rodaków,—to nazbyt odważnie!...
 Żeś młody,—nierozwaga ta ci się wybaczy...
 Co do mnie—o polakach ja trzymam inaczej:
 Nie jesteśmy bez ale, za świętych nie mamy,
 Bo i słońce choć jasne, jednak nie bez plamy!

Lecz żeby tak wzdorliwie i tak niekorzystnie
Sądzić o nas, jak waszmość, to chyba umyślnie
Trza na oczy mrok spuścić złośliwej ślepoty,
By mężów naszych wielkiej zasługi i cnoty,
By szereg ich promienny a długi bez końca
Nie dojrzeć!... przeszłość nimi jaśniejsza od słońca,
Dotychczas swą wielkością podziw świata budzi!
A i dziś nie jesteśmy, mospanie, bez ludzi,—
Choć niedola nas trapi, chociaż nie te czasy,
Co były dawniej, jednak możemy w zapasy
Występować z niejednym współczesnym narodem....
Niedaleko przed nami ujdzie który przodem!
Nasza gnuśność dzisiejsza—to tylko pozory!
I dziś się między nami znajdzie zastęp spory
Genijuszów, talentów rozlicznych gałęzi...
Lecz te nikną w ukryciu, bo je gnicie, więzi
I nie daje polotu stan dzisiejszych rzeczy,
Który, że jest okropnym,—nikt mi nie zaprzeczy!
Z każdą chwilą, mospanie, gorzej nam i gorzej;
Lecz to nie z naszej winy, ale z woli bożej!...
Czemu przemysł nasz upadł?... bo powszechna nędza!
Bo w kieszeniach pustki, grosz grosza dopędza;
A gdzie niema pieniędzy,—tam niema kredytu,
A bez kredytu, panie, niema dobrobytu!
Nam zaś ekonomiczna maksyma opiewa:
Że kraj bez dobrobytu przemysłu nie miewa!
Miejmy dzisiaj pieniądze,—będziem mieć po uszy

Rozmaitych talentów, wielkich genijuszy!
Bo co polak,—to talent najwyższych promieni!
Lecz talent ten się błyszczy, gdy ma co w kieszeni!

A żeby zaś faktyczne złożył wam dowody,
Że nie tylko tam Niemcy i inne narody
Mają swe Edisony, Newtony i Watty,
Lecz że nimi i nasz kraj może być bogaty—
Obecnego tu z nami rodaka wam wskażę....
Przebacz, panie Cholewo, że może obrażę
Twoją skromność—właściwą wielkich ludzi cechę....
Ale niech mam, sąsiedzie, tę błogą pociechę,
Że twoim wynalazkiem potwarze rozproszę,
Które rzucił pan Wacław.... Posłuchajcie, proszę:

Było to po obiedzie, w lipcu.... pan Cholewa
Na zwykłą poszedł drzemkę. Leży więc, poziewa,
Ale zasnąć nie może!... Czy letnie upały,
Czy może przykre muchy spać mu nie dawały,
Dość, że z łóżka się zerwał.... Wiecie co za nuda,
Gdy drzemka poobiednia komu się nie uda!
Czy był kwaśny? znudzony? niema o co pytać!...
Jakże temu zaradzić?... »może co przeczytać!«—
—Tak głos jakiś tajemny w duszy mu doradza—
»Lektura w wielu razach błogi sen sprowadza!«

Poszedł szukać po wszystkich kątach; lecz niestety!
 W całym domu ni książki żadnej, ni gazety!
 Chodził, szukał, marudził, dom przewrócił wszystek.
 Aż nareszcie w spiżarni znalazł jakiś świstek,
 W który był, pono, kawał mydła zawinięty.
 A był to arkusz »Wiekua« cały, choć pomięty.
 Rad z odkrycia, Cholewa okulary włożył
 I zasiadł koło okna; (a okno otworzył).
 Już dwa wiersze przeczytał ze skupionym duchem,—
 Gdy wiatr, przez okno wpadłszy, gwałtownym podmuchem
 Wyrwał mu z rąk gazetę, zniął ją, zaszeleścił
 I aż w końcu drugiego pokoju umieścił.
 Wprawdzie—nasz pan Cholewa cokolwiek się skrzywił;
 Lecz ani się zbyt gniewał, ani się zadziwił.
 Wstał i podniósł gazetę, znów zasiadł i czyta...
 Wtem znowu, po raz drugi wiatr gazetę chwytą,
 Ciska ją w twarz Cholewy, zarzuca na oczy,
 I, wreszcie z rąk wyrwawszy, hen, pod stół ją tłoczy.
 Tą razą już naprawdę kazus go ten gniewa;
 Lecz zgadnijcie, co zrobił zacny pan Cholewa?
 Nie bądź to on, lecz jaka głowa pospolita,—
 Zamknął by sobie okno, mospanie, i kwita!
 Lub rzuciłby lekturę do kroć—set szatanów!
 Jak i ja bym uczynił i niejednen z panów:
 Bo jak tu, panie, czytać, gdy raz—wraz zawody!
 Pan Cholewa nie zważa na żadne przeszkody:
 Dwa razy zwyciężony, lecz broni nie składa

I—patrzcie:—do czytania trzeci raz zasiada!...
 Co to znaczy do wiedzy pociąg nieprzearty:
 Dla niej gotów z żywiołem toczyć bój zażarty!
 Jaka to siła woli!... co za umysł tegi!
 Pan Waclaw, co przed chwilą wyprawił nam cięgi
 Za to, że my, wrzekomo, zacofańcy osły,—
 Przeciw swemu oszczerstwu ma protest doniosły.
 Lecz mówię to w nawiasie.... Pan Cholewa tedy
 Po raz trzeci się zabrał do swojej gazety,
 I, żeby wiatr swawolny znowu jej nie świsnął,—
 Dużym ją kałamarzem do stołu przycisnął...
 Ale się nie na żarty żywioł rozzuchwalił:
 Bo w moment zmiótł gazetę i kałamarz zwalił,—
 Przyczem panu Cholewie splamił część ubrania,
 Którą nazwać, obecność szanownych pań wzbrania...
 Pan Cholewa człek stały, ale nie uparty,
 Byłby głupcem, zasiadłszy czytać po raz czwarty!
 Rzucił więc; na pierś jego głowa się zwiesiła
 I myśli: zkąd ta wiatru zawziętość i siła?
 A myślał tak głęboko, że omal nie zasnął!
 Wtem się porwał i silnie dłońią po łbie trzasnął,
 Bo tam błysła myśl jakaś: najpierw mdła, daleka,
 Wreszcie coraz jaśniejsza, aż krzyknął: eureka!
 I w twarzy taki ogień, w oczach takie błyski
 Jakby ujrzał firmament pochylony, blizki
 Z gwiazdami najcudniejszych, najżywszych promieni,
 A on te gwiazdy ściąga do swojej kieszeni!...

Wstał żywo, wziął gazetę, porwał ją na świstki
 I na wiatr po jednemu puszcza... Jako listki
 Jesienne, albo śniegu białe, lekkie puchy
 Latają po pokoju! Cholewa ich ruchy
 Baczenie śledzi, wciąż nowe rzucając obrywki;
 (A nie czyni bynajmniej tego dla rozrywki,
 Bo zbyt poważne teraz obsiadły go myśli!)
 Duma, liczy, ołówkiem na papierze kreśli
 I jako ongi Newton, pod jabłonią śpiący,
 Gdy go w łeb palnął owoc z góry spadający—
 Ocknął się i z przykrego tego dlań zdarzenia
 Wysnuł dla świata wielkie swe prawo ciężenia:
 Tak dziś i pan Cholewa, z swych z wiatrem niesnasek
 Wysnuł nam jenijalny, wielki wynalazek,
 Który was wszystkich zdumi swą dziwną prostotą
 I wielką swą przyszłością! Słuchajcie więc: oto
 Rzecz w tem, aby przeciągi, czy tak zwane cugi
 Uczynić motorami!... w tym więc celu, długi
 Buduje się korytarz.... najmniej kroków trzysta—
 W nim dwoje drzwi na przestrzał; rzecz więc oczywista,
 Że jeśli drzwi otwarte,—przeciągi być muszą,
 A tak silne zapewne, że nawet poruszą
 Koła u drzwi wstawione, których ma być taka
 Budowa, jak zwyczajnych skrzydeł od wiatraka.
 A pasy, co się od tych skrzydeł wyprowadzą,—
 Ich ruchy innym, dalszym przyrządom nadadzą;
 Nie potrzeba ni ognia, ni wody dla ruchu,

Bo cała siła w wietrze: cugowym podmuchu.
 Widzicie więc jak prosta, jak pewna zasada!
 (Tylko, panowie, sza!... niech nikt nie rozpowiada,—
 Pan Cholewa o sekret najusilniej prosi,
 Bo niemiec pomysł chwyci i za swój ogłosi...)
 A pomysł, jak widzicie, nie jest tworem szału;
 Lecz by mu życie nadać,—trzeba kapitału:
 A gdzie go wziąć mospanie, gdyśmy wszyscy goli?
 Więc wędnie swojski talent—kwiat ojczystej roli!—
 Tak głuchną cnoty nasze, marnieją pomysły,
 A jenjusz polski drzemie.... skrzydła mu obwisły...

Na to rzekł pan Marszałek:—masz słuszność, sąsiedzie;
 Już to nam jakoś żaden pomysł się nie wiedzie,
 Ledwie który się zrodzi—zaraz i umiera,
 Bo go ni społeczeństwo, ni rząd nie popiera.
 I mnie się raz, panowie, świetny pomysł zdarzył;
 Ale się na nim zawiódł i djabelnie sparzył,
 Więc dałem sobie słowo—jak człek honorowy,—
 Nie łamać nigdy więcej myślami głowy.
 Wiadomo, że od traktu do mej wioski Rurki,
 Szkaradna wiedzie droga: wyboje, pagórki
 Hacie, bagna, kałuże są na każdym kroku!
 Ile razy tam jadę —miewam klucia w boku...
 Raz po dobrym obiedzie, gdym wracał tamtędy—
 (A byłem nie swój czegoś... niby obrzęknięty...)

Jak schwyciły boleści, jak mię kolki sparły,—
Mślałem, że powrócę do domu umarły!
Lecz żywy dojechałem,—choć w okropnych mękach—
Z powozu mię zniesiono do łóżka na rękach;
Posłano po doktora... przyjechał nad rankiem
Dał mi *oleum* jakieś, napił rumiankiem
I nakazał dyetę. Mija jedna doba,
Mija trzecia i czwarta—wzmaga się choroba!
A bardziej cierpię jeszcze od głodu, choć proszę
By doktor jeść pozwolił... (dyety nie znoszę!
I pewnie byłbym umarł z eskulapa łaski,
Gdybym nie zjadł cichaczem bigosu pół faski;
Ten mię, panie, dopiero na nogach postawił!)
Gdym, leżąc chory, z nudów myślami się bawił
I o tem i o owem, a wśród myśli wielu
I o drogach rozlicznych, o ich stanie, celu,—
Wysnułem niespodzianie z owych medytacyj
Pewnik, że każda droga do czegoś prowadzi!
A im te *coś* ważniejsze, im jest bardziej warte,
Tem i drogi wiodące doń bardziej utarte...
Z czego zatem doszedłem takich konsekwencyj:
Że ludzie rzadko jeżdżą tam, gdzie nic nie nęci;
A gdzie mają przynętę,—tam od samej jazdy
Stan się drogi poprawia—bo zrozumie każdy!
Wreszcie do miejsc takowych sam rząd bruki ścieli
Dla wygody w podróży swych obywateli...
Po tem rozumowaniu tak dalece ścisłem,

Ocknąłem się z dumania z gotowym pomysłem,
Któryby drogę moję polepszył niezmiernie
A pomysł ten:—zbudować w Rurce traktyernię!
Bo cóż bardziej człowieka zajmuje i nęci
Nad to, gdzie może wypić lub zjeść według chęci!,
Pomyślałem i żwawo wziąłem się do dzieła;
Traktyernia w pół roku, jak pałac stanęła,
Urządzona z komfortem, wszystkiego w dostatku...
(W tym celu nie skąpiłem znacznego wydatku).
A kiedy wreszcie przyszła otworzenia pora,—
Siadłem i jadę prosto do gubernatora,
Który mię przyjął miłą wielce ugrzecznioną,
Więc mówię mu, że oto pro publico bono
Wzniosłem własnym funduszem piękną traktyernię,
Która chlubą okryje Wołyńską gubernię,
O czem mając mu zaszczyt zakommunikować,
Proszę, by do niej drogę kazał wybrukować.
A on mię swem zmierzwiwszy spójrzaniem badawczem,
Mówi: »gdyby rząd bruki słał do wszystkich karczem,
To by pewnie na świecie zabrakło kamieni«...
Słyszycie? traktyernię moję karczmą mieni!
Otóż to jest zachęta i pomoc rządowa!
Tyle trudów i kosztów, tak piękna budowa,
Urządzona gustownie, porządnie, wygodnie,
Stoi pustką, bo nawet pies w nią nie zaglądnie!
A droga i po dziś—dzień szkaradna i grzązka!...
Niechże nas od pomysłów broni ręka boska!

Rozmowa towarzyska wpadłszy na te tory,
Niezmiernie zasępiła zebranych humory
I spuściła na czoła chmurę melancholji.
Z kolei każdy mówił o tem, co go boli;
U wszystkich się znalazła troska i zgrzyzota,
U wszystkich straty, długi i wspólna hołota.
Gorzki los swój składano na różne przyczyny
Na Boga nawet, tylko nie na własne winy.
Z pomiędzy przyczyn wielu, wskazał pan Ryczywół
Jak na najważniejszą:—na niemiecki żywioł
I na gwałtowną jego dziś kolonizację,
Palnąwszy na ten temat prześliczną orację,
Pełną cudnych okresów retorycznych zwrotów,
Porównań, wykrzykników i innych klejnotów
Sztuki elokwencyjnej; niemi błyskotliwa,
Była, jak fajerwerków gamma hałaśliwa,
Co siejąc iskier deszczem, rzuca grom po gromie!
My—rzekł—jako rycerzy garstka na wylomie!
Powinniśmy się skupić, stanąć twardą stopą,
Pokazać przed Niemcami, przed całą Europą,
Że jeszcze dziś na świecie są Leonidasy,
Którzy się nie ulęką wystąpić w zapasy,
By śmieciak swoich bronić, nim technienie ostatnie
Ostatni z nas nie odda!... Złączmy dłonie bratnie
W obec wroga wspólnego! Niech ani piędź ziemi
Nie przejdzie do rąk jego, zbrukanych grabieżą!...
Panowie! wszak w tej ziemi święte kości leżą

Naszych wielkich pradziadów!... Czyż polacy mogą
 Dopuszczać, by je przybysz deptał swoją nogą!...
 Cóż nas od tej sromoty, od hańby wykupi,
 Jeśli kość ta pod stopą niemiecką zachrupi
 I zgrzytnie znieważonej klątwą nam przeszłości?
 Gdzież, wreszcie, i my sami złożym nasze kości?
 A dzieciom naszym, wnukom cóż damy w spuściźnie?
 Czyż mają tułaczami być w swojej ojczyźnie?
 Cóż o nas powie świat?... ze wzgardą nas odeprze
 I powie, że jesteśmy jako owi wieprze,
 Którym perły pod nogi rzucono!... Panowie!
 Póki jeden z nas żyje,—świat tego nie powie:
 Wspierajmy się wzajemnie, żyjmy solidarnie,
 Niech sąsiad do sąsiada z pomocą się garnie,
 Niech hasłem naszym, bracia, od dnia dzisiejszego
 Będzie: jeden za wszystkich,—wszyscy za jednego!
 Niech nikt morga jednego Niemcowi nie odda,
 Poprzysiężmy to sobie!... Panowie! czy zgoda?
 —Zgoda! zgoda!—krzyknęli, powstawszy z za stoła—
 Niech żyje pan Ryczywół!... zdrowie Ryczywoła:
 Ależ mówi! jak mówi!... niech go wszyscy kaci!...
 Jak żyję,—nie słyszałem tak pięknej oracyi!—
 Zawołał pan Zawada—ta mi, panie, Kato!...
 Niech-że, cię, mój sąsiedzie, wycaluję za to!...
 —Tak! wszyscy za jednego i za wszystkich jeden!—
 Rzekł Ryczywół—niech wiedzą!... niech wie Berlin,
 Wiedeń...

Że nie łatwo nas połknąć... pierwiej się zakrzuszą!
 Lecz, panowie, od dzisiaj bądźmy jedną duszą:
 Sprawa święta, społeczna dłonie nasze spleta;
 A kto nie z nami,—będzie jako apostata,
 Jako zdrajca nikczemny!!...

Tu Ryczywół wrzasnął

I silną pięścią o stół z taką mocą trzasnął,
 Że aż kilka kieliszków i talerz zdruzgotał,
 A taki w jego oczach ogień zamigotał
 I twarz takiego gniewu wykrzywił wyrazem,—
 Aż zlekły się kobiety, ach! krzyknąwszy razem.
 I mężczyźni zadrżeli!...

Wtedy pan Wątroba

Uznając, że dla niego najwłaściwsza doba
 Przemówić do sąsiadów,—wyznał swoją troskę:
 Że Pfejfer jego dusi, że czyha na wioskę,
 Bo nie chce wchodzić w żadne z Wątrobą układy;
 Więc on sąsiadów prosi pomocy i rady...
 Mówił pięknie, z uczuciem, przekonywająco,
 Prosił wprawdzie o pomoc, lecz niezbyt gorąco,
 Lecz z godnością, jak zwykłej przysługi;
 —»Nie w tem jest moja wina—rzekł—że ja mam długi,
 »Bo kto ich dzisiaj nie ma!... lecz—wyznaję szczerze—
 »Zgrzeszyłem, pokładając ufność mą w Pfejferze;
 »Była to wielka myłka!... ależ, mocny Boże!
 »Człowiek przecie nie papież,—pomylić się może!...

Mea culpa!... tak, *culpa* kochani sąsiedzi!
 »Lecz ratujcie, bo niemiec na karku mym siedzi,
 »Nie dajcie marnie zginąć waszemu Wątrobie!«....

Gdy skończył, – taka cisza zaległa jak w grobie;
 Tylko gang zegarowy w drugim pokoiku,
 I słychać gdzieś kogucie na wsi ku-ku-riku!
 A chwila owej ciszy zdawała się wiekiem!
 Nikt nie mógł słowa wyrzec, czując, jakby ćwiekiem
 Język mu przygwożdżono! W gardłach coś zdusiło
 I ckliwość jakaś taka... tak jakoś nie miło...
 Nawet sam pan Ryczywół przybrał minę owczą,
 Przykry niesmak go dławił, czuł chwilę stanowczą,
 Nie wiedział co poradzi w tym razie, co pocznie;
 Czuł, że patrzą nań wszyscy, jako na wyrocznię.
 Wreszcie rzekł: »Zagadnąłeś nas trochę zmienacka,
 Szanowny nasz sąsiedzie!... sprawa desperacka,
 Nie przeczę, bo z Pfejferem niema, panie, żartu!
 Żałujemy żeś popadł w ręce temu czartu,
 Ale cię stamtąd wyrwiem!... Panowie! nasz związek,
 Zawarty tu przed chwilą – wkłada obowiązek,
 Na nas, śpieszyć z pomocą... a rad jestem szczerze,
 Że pierwszemu Wątrobie to nasze przymierze
 Może stanąć w przysłudze... dowiedzimy przytem,
 Że polska solidarność nie jest żadnym mytem.

Ze nasz dzisiejszy związek nie jest pustą marą
 I że się dla współbraci nie liczym z ofiarą!
 Pieniądzy dać nie mogę.... bo ile tu osób,
 Żadna pono ich niema .. lecz mam inny sposób,
 Którym mogę Wątrobie zaradzić w tej biedzie:
 Oto, niechaj z nas kilku do Pfejfera jedzie:
 Rozdzielim dług na części, każdy weźmie na się
 Część—i oblię wystawi, że zapłaci w czasie.
 Pfejfer się niezawodnie tym warunkom podda.
 Cóż, panowie, czy zgoda?— Zgoda!—krzykli—zgoda!

Wątroba aż zapłakał, tak się tem rozczulił!
 Ścisnął szlachtę, całował, do swych piersi tulił,
 Również mocno wzruszona pani Wątrobiną
 Krzyknęła na służących:—Wina podać! wina!...
 A wzięwszy jeden kielich do swej białej ręki—
 —Panowie!—rzekła z czuciem—dzięki wam, o dzięki!
 Brak mi słów wypowiedzieć!... ale tu, w tem łonie,
 Niewieście serce dla was uwielbieniem płonie,
 A szczerem, jak to wino, co w kielichu skrzy się!...
 Panowie! zdrowie wasze piję! Kochajmy się!...

Niepodobna opisać, jakim na te hasło
 Wiwatem towarzystwo poruszone wrzasło!
 Aż drgnęły okien szyby i cała budowa,

»Wiwat! wiwat! niech żyje pani Wincetowa!
Kochajmy się! kochajmy«!... A jak się ściskano!
Ile wina wypito!... jak się całowano!...
Tego biedna ma Muza skreślić nie ma mocy,
Dość, że brzmiały wiwaty aż do końca nocy.



CZĘŚĆ DRUGA.

Poranek. — Posłowie juda. — Kwaśny humor szlachty. — p.
Marszałek głodny. — Elko dyplomata. — Wahanie się szla-
chty. — P. Ryczywół przemawia. — Co zwyciężyło?

Świtanie... Raźniej, rzeźwiej wiatarki powiały...
Z kopuły niebios spełznął księżyc wypłowiały
I blednąc coraz mocniej, coraz niżej spada,
Tarcza, świetna niedawno—teraz trupio blada
Jak twarz, gdy strach z niej wszystką krew do serca
ściągnie!

Gasną z wolna gwiazd skrzących brylantowe ognie:
Już jak plamki białawe, nie migocą... bledną...
Aż stopniały, jak płatki śniegowe!... Lecz jedną
Jeszcze widać... nie zgasła—lśni promieniejąca!
To pali się jutrzienka—posłannica słońca.
Noc pierzchła; ale ziemia jeszcze cicha, szara...
Na wschodzie tylko cienka, purpurowa szpara,
Jako cięcie pałasza zaognione, krwawe,
Lub jak wązka szczelina, przez którą jaskrawe
Wydobywa się światło z pokoju do sieni.

Wtem szpara. jak powieka o rzesach z promieni
Powoli się rozszerza, podnosi, otwiera
I z pod niej słońce okiem czerwonym spoziera.

Pod tem krwawem spójrzeniem ziemia jakby drgnęła
I zbudzona, oddechem porannym westchnęła
Zatrzepotał się ptaszek, strzęśł perełki rosy
Ze swych skrzydeł wilgotnych i frunął w niebiosy,
Witając krąg płomienny srebrodźwięczną pieśnią...
Lecz słońce wkrótce mglistą zasnuło się pleśnią;
Z tej pleśni coraz grubsza staje się powłoka,
Słońce już coraz mniejsze. już jak bielmo oka.
Nareszcie się zupełnie schowało za chmury...
Ptaszek wrócił do gniazda smutny i ponury,
Śnać przeczuł niepogodę... Chłód nawskroś przenika,
Deszcz ze śniegiem, jak plwaki z piersi suchotnika,
Pada z chmur i gałęzi drzew nagich się czepia
I skorupą lodową, szklistą je oblepia.
Brr!... jak chłodno!... aż mrowie przechodzi po grzbiecie!
Smutno, hydsko, obmierzle na tym pięknym świecie!

*
* *

W taki to niepogodny i chłodny poranek
Jechało z Objiboków kilka najtyczanek
I szaraban podróżny toczył się na przedzie.

W szarabanie sam jeden pan Marszałek jedzie.
Zmrużył oczy, pobożnie splótł ręce na brzuchu,
A głowa ociężała w nieustannym ruchu,
To spada mu na piersi, to się na bok schyla,
Jak kwiatek, potrącany skrzydełkiem motyla!
Za nim jedzie Kowadło w dumaniu ponurem,
Sam burką się otulił, a głowę kapturem
I spuścił na dół oczy,—czasem tylko łypnie,
Bo śnieg powieki skleja i do wąsów lipnie...
Za Kowadłem—Cholewa; za tym znowu bryka,
A ową kalwakatę nareszcie zamyka
Krasomówczy Ryczywół z Prokopem Zawadą,
Ci jedną najtyczanką, obaj razem jadą.
Zawada nieruchomy; lecz Ryczywół żwawo
Wciąż wywija rękami, to lewą, to prawą,
To rozkrzyżuje obie, to się w pierś uderzy,
To czoło zmarszczy groźnie, to zęby wyszczerzy...
Zawada w niego wlepił oczy, jako w tęczę;
Że Ryczywół mu o czemś mówił,—za to rękę,
Lecz o czem?—nikt nie wiedział ni wtenczas ni potem,
Bo słowa przytłumione były kół turkotem.
Raz tylko usłyszano jeden frazes krótki,
Było to, gdy wjechali do przysiółka Rudki
Jakiś Niemiec stał sobie spokojnie przy drodze...
Ryczywół go ujrawszy, rozgniewał się srodze;
Wychylił się ku niemu, obie pięście wytknął
I trzęsąc się:— »ha! pludry!«—straszonym głosem ryknął—

I tem takiego strachu napędził niemczysku,
 Że aż mu krótka fajka wyleciała z pysku.
 Czem się znowu Zawada niezmiernie zachwycił,
 Bo zaraz Ryczywoła w swe objęcia schwytał
 I wyciął mu na wąsie całus kilkakrotny,
 Choć wąż był oblepiony śniegiem i wilgotny.

Pojechali,—a niemiec jeszcze długo ściagał
 Ich okiem przerażonem.—Powoli ostygł
 Ryczywół z oburzenia,—z zachwytu Zawada,
 Bo wiatr w oczy wciąż dmucha i śnieg ostry pada,
 Co jak satyra szczypie, kole i ostudza
 Każdy zapal i z rojeń trzeźwi i ocuca!
 Im dalej—tem widoczniej Ryczywół się nuży,
 Bo się chwieje i oczy coraz bardziej mruży;
 Mniej już gestykuluje, bardziej głowę kłoni,
 Czasem, jakoby przez sen kilka słów uroni,
 Mruknie coś, ręką machnie, jakby muchę łapał,
 Nakoniec zwiesił głowę i głośno zachrapał...

Tak jechało poselstwo w sprawie Wątrobowej.
 A za posłami, na swej bidzie dwókołowej
 Jechał zdala, skulony poselstwa sekretarz,
 A był nim nasz znajomy pan Elko arendarz,
 Wątroba go wyprawił jako znającego

Dokładnie całą sprawę,—jako *alter ego*.
 Ma przytem być tłumaczem, bo nasi posłowie
 Niemieckiej mowy ani mru—mru, co się zowie!

*
 * *

Ale czemu poselstwo nie wprost do Pfejfera
 Lecz do karczmy zjechało,—w tem się snąć zawiera
 Jakiś dyplomatyczny plan, jakaś myśl wielka!
 (Stało się to z porady sekretarza Elka.)
 Czy żeby do namysłu więcej mieli czasu,
 Czy dla wygodniejszego swych koni popasu,
 Dość że w karczmie stanęli stosownie do rady,
 A Elka do Pfejfera wysłali na zwiady.

Poszedł Elko... a szlachta w karczmie pozostała...
 Niezwykle była jakoś chmurna i skwaśniała
 Wszyscy byli zmęczeni, obryzgani błotem,
 Przytem—w głowie każdego coś stuka, jak młotem!
 Marszałek usiadł w kącie na ławie i sapie,
 Cholewa wzrok zamglony utkwił na pułapie,
 (Może myśli o jakim kółku albo trybie.)
 Zawada patrzy w okno i bębni po szybie.
 Kowadło stanął w drugim i na świat spoziera,
 Nie widzi nic, choć brudne szyby wciąż wyciera,
 A Ryczywół ponury, z miną, groźną, wilczą,

Jak lew w klatce, po karczmie chodzi.—Wszyscy milczą,
 A tylko wiatr w kominie zawodzi okrutnie
 I deszcz ze śniegiem w okna brzęczy... ach! jak smutnie!
 Smutna jesień gdy słotna, zimna, niepogodna;
 Ale stokroć smutniejsza szlachta, kiedy głodna!
 Ale jakże zaradzić na te ciężkie smutki,
 Kiedy w karczmie nic nie ma, prócz smierdzącej wódki!
 Milczą więc... Wtem z ust Rury, jak przez sen wypadło:
 —Hm!... dobrze-by to było, gdyby się co zjadło!...
 Ale to marszałkowskie słuszne przemówienie
 Zostało bez odgłosu, bez echa... milczenie...

Po chwili rzekł Kowadło; »Paskudna *planeta*«!..,
 I znów milczenie.—»Gdyby bodaj pół kotleta!—
 Zawołał pan Marszałek—»bo tak jakoś ckliwo«...
 I gdy to mówił, tak miał minę nieszczęśliwą,
 Że kamień by rozczulil!—Nikt nie odpowiada
 Tylko głośniej po szybach bębni pan Zawada
 I tylko pan Ryczywół pędsze stawia kroki..-

—Djabli-bo nam nadali jechać w Obij—boki!
 Zawołał znów Marszałek z niezwykłą mocą—
 Wplątali w jakąś sprawę i za co? i po co?
 Teraz w dziurze tej z głodu umrzeć przyjdzie pono
 Za to, że wczoraj jakąś lurą napojono,
 Od której dzisiaj w głowie stuka jakby w kuźni!

—Ej Marszałku!—zawołał Kowadło—nie bluźnij:
 Że wino było dobre—nie przyznać jest grzechem!...
 —Co? wino?—rzekł Ryczywół ze złośliwym śmiechem—
 Lura, panie, nie wino!... pomyje i basta!
 Butelki wprawdzie stare, jakoby od Piasta,
 Ale znam się na lisach farbowanych!... sztuka!...
 Butelką byle jaką nikt mię nie oszuka!
 Dlatego też, otwarcie mówiąc między nami...
 Tu zamilkł raptem, splunął i machnął rękami.
 —Ot wiecie co, panowie? dla ogrzania kiszek
 Radzę każdemu palnąć siwuchy kieliszek.—
 Rzekł Ryczywół i najpierw kieliszek wysuszył;
 Za nim jeden i drugi do szynkwasu ruszył.

Wypili.—Wszystkim jakoś zrobiło się raźniej
 Ale głód potem zaczął dokuczać wyraźniej;
 Pan Marszałek się kurczy i pò brzuchu maca...
 A Elko, jakby w wodę utonął, nie wraca!
 Posłano więc szynkarza po niego w tej chwili,
 Tymczasem po kieliszku znowu wychylili.

Aż nareszcie i Elko do karczmy się wsunął.
 Ryczywół nań jak chmura, piorunowa runął:
 —Gdzie-żeś żydzie przepadał? Pewnie do Berlina
 Jeździłeś szukać niemca!...—No, czy moja wina?—

Rzekł Elko—że mię Pfejfer trzymał do tej pory?
 Myśli pan, że on taki do układów skory.
 —A więc gadaj o swojej z Pfejferem naradzie,
 Co mówił? czy się zgadza?...—Zgadza, ale kładzie
 Bardzo ciężkie warunki: naprzód, prolonguje
 Nie dłużej jak na miesiąc; potem: potrzebuje
 Aby weksle wystawić na podwójną kwotę...
 —Ha! szoldra!—wrzasł Ryczywół—ma pewnie ochotę
 Złapać nas jak Wątrobę!... Zje diabła, mospanie!
 Figę, a nie królestwo niebieskie dostanie!
 —Jakże będzie z Wątrobą?—zapytał Kowadło—
 —A co mi tam do tego! mamże zań swe gardło
 Oddać pod nóż niemiecki? po jakiego licha?
 Człowiek od własnych długów ledwie że oddycha!...
 —Jednakże wracać z niczem—jakoś nie wypada,—
 Odpowiedział Kowadło—może jaka rada
 Znajdzie się, żeby pomódz biednemu Wątrobie?...
 —Jakaż rada być może?... niech sam radzi sobie!—
 Rzekł Ryczywół stanowczo—jak się kto pościele,
 Tak się wyśpi! nie prawdaż, moi przyjaciele?
 Otóż lepiej ruszajmy do domu i kwita!
 —Jak on mówi! jak mówi!... niby z książki czyta!—
 Zawołał pan Zawada—Zkąd u niego taka
 Elokwencja?... bratku, dajże mi buziaka!..
 —Przyznam się,—rzekł Kowadło—że się szczerze smucę
 Tem, że stanąć Wątrobie nie mogę w przysłudze,
 Biedaczysko przepadnie, ruiny nie chybi.

Szkada!... a co *hodie mihi*, to *cras tibi!*...
 —Ależ, drogi sąsiedzie! cóż poradzić możemy?!
 Dać weksle, jakich żąda Pfejfer—jest to nożem
 Poderżnąć sobie gardło!... czegoż dokażemy?
 Wątroby nie ocalim, a sami zginiemy!
 Wiem ja, że obowiązkiem każdego szlachcica,
 Pomagać rodakowi... ależ jest granica...
 Jest kres wszelkim ofiarom, a kto go przekracza
 Niebaczny,—ten niechybnie sam się w przepaść stacza!
 Bo każdy najpierw musi dbać o własną skórę...
 Czyż dla tego, że wczoraj dał mi jakąś lurę,
 Więc—jak Ezaw, dla łyżki marnej soczewicy—...
 Mam Wątrobie ofiarę czynić z mej krwawicy?..
 —Ot wierzcie mi,—w tej chwili przerwał mu Marszałek—
 Pół wsi bym swojej oddał za mięsa kawałek!
 Nie winię ja Ezawa, który swoje prawa
 Sprzedał za soczewicę, bo głód—djabła sprawa!
 Ale na Boga! kończcie już tę gadaninę,
 Bo, na honor, nie wytrwam i tu chyba zginę!
 —Kończmy! jedźmy!—krzyknęli. A wtem Elko rzecze:
 —No? wiecie co ja państwu powiem?... ja nie przeczę,
 Że memu panu kręto... ja to sam przyznaję,—
 Lecz znowu nie tak bardzo, jak się państwu zdaje;
 Otóż proszę posłuchać: gdy Pfejfer powiedział;
 Jakie warunki panom daje,—to ja wiedział
 Już naprzód, że panowie nie przystaną na nie...
 Więc zacząłem z Pfejferem obszerne gadanie,

Że to się tak nie godzi, że to tak nie ładnie
Krzywdzić pana Wątrobę... że pan mój przypadnie,
Zrujnuje się przez niego i będzie żebrakiem...
Że ten jest bez sumienia, ostatnim łajdakiem,
Kto zacnych ludzi krzywdzi, grabi i obdziera...
Pod chejrem, żem tak samo mówił do Pfejfera!...
A on mi odpowiada: »nie myśl Elku, sobie,
Że ja chcę jakiej krzywdy twojemu Wątrobie.
Przecież i ja, choć niemiec, lecz stworzenie boskie...
Otóż niech dobrowolnie sprzeda mi swą wioskę,
To przynamjniej nie dozna zupełnej rujnacyi
Która go nie ominie, jeśli z licytacyi
Sprzedadzą Obij—boki... (a że tak być może,—
To prawie jestem pewny). Gotów jestem drożej,
Nad cenę o pięć rubli każdy morg zapłacić...
Na takim, jak ja kupcu, nie powinien stracić;
Niech-że więc z tej zręczności skorzysta Wątroba,
A wreszcie niechaj czyni, jak mu się podoba!...
—A to świetny interes Wątrobie, słyszycie?
O pięć rubli na morgu!... chyba kłamiesz, żydzie!—
Zawołał pan Ryczywół.—Pod chejrem! to szczerza
Prawda,.. mogą panowie zapytać Pfejfera...
—Dla Wątroby to łaska niebios oczywista!
Rzekł Ryczywół—kpem będzie, jeśli nie skorzysta
Z dobrych chęci Pfejfera!.. . wszak to dlań zbawienie!...
Tylko ja powątpiewam o tak dobrej cenie:
Żyd pewnie nie dosłyszał i androny plecie!

—No? jakto nie dosłyszał? jam nie głuchy przecie!
Ja więcej państwu powiem: oto Pfejfer prosił,
Ażebym ja wam wszystkim, panowie, ogłosił,
Że jeśli który z panów po tej cenie życzy
Sprzedać wieś swą,—on zaraz pieniądze odliczy!

Po owem niespodzianem Elka przemówieniu.
Szlachta jakby wkopana stała w milczeniu,
Każdy z nich zaciął usta i oczy przymrużył
I w głąb' samego siebie skurczył się, zanurzył
Jak ślimak w swoją muszlę!... i w tej głębi widzi
Jakiś chaos: chce czegoś i czegoś się wstydzi...
Napróżno w tym nieładzie, w tym uczuć natłoku
Szuka wątku,—błąka się w niepewności mroku.
Wreszcie, by kres położyć owych uczuć walce,
Wytknęli wszyscy razem, każdy po dwa palce,
I mrużąc oczy, jakby padało w nie słońce,
Puścili szybkim młynkiem palce, których końce
To zbliżą, to oddalą... palec palec ściga.
Nim się z sobą nie zetkną: bo tak się rozstrzyga
To, co było wątpliwem i trudnem dla głowy.
Sposób ten choć nie nowy, lecz nasz narodowy—
Służy nam bardzo dobrze na wszelkie przygody
I w wątpliwościach wielu, gdy inne narody
Nad rozwiązaniem myślą i kręcą głowami,—
My tam nie trudem głowy, a kręcim palcami;

Dość nam oczy przymrużyć i dwa palce zetknąć,
By wątpliwość rosproszyć i sprawę orzeknąć!...

Lecz napróżno palcami szlachta dzisiaj kręci:
Jakoś się nie stykają one—mimo chęci...
—Poco tak długo kręcić?—ozwał się głos żyda—
Wszak to jasne, że pieniądz każdemu się przyda!
A wątpię czy się znajdzie drugi jaki głupiec,
Co zapłaci jak Pfejfer... dziś to rzadki kupiec:
Daje wyżej nad cenę i na stół pieniądze!
Ja radzę kuć żelazo, nim jeszcze gorące...
—Hm! kuć żelazo, mówisz—ozwał się Kowadło—
Sprzedać swą ojcowiznę, rzucić pług i radło,
Oddać to wszystko niemcom!... może to nieładnie
I cóż potem?.. co robić samemu wypadnie?...
Człowiek się przyzwyczaił do wioski, do roli...
—Paradnyś, mój sąsiedzie! więc ci głowa boli
O to— rzekł pan Ryczywół—co masz robić potem?...
Można, mając pieniądze, i nie myśleć o tem!
Czyż ciągle gnuśnieć na wsi i grzebać się w glebie
I życiem żyć robaka, co się w gnoju grzebie?
Czyż tylko w tem zadanie człowieka i cele?
Dziś ludzkość wyżej dąży, inne drogi ściele!
Świat otworem przed nami!... liczne na nim tory
Prowadzą, kędy wiedza, zaszczyty, honory!...
Nie wieś,—lecz miasto dla nas winno być siedliskiem:
Bo miasto jest postępu i wiedzy ogniskiem;

Dla tego doń się każdy człek porządny garnie,
 A wiejskie gospodarstwo dzisiaj—to męczarnie!
 To zboże nie urodzi, to je grad wybije,
 To słońce, które pali i do szczętu suszy...
 To słońce, które pali i do szczętu suszy...
 Tymczasem zaległości i długów po uszy!
 Człowiek jak wół pracuje, z potu nie ostyga,
 A w końcu roku, cóż mu z owej pracy?... figa!
 Płać procenta, wypłaty, »nałogi«, podatki,
 Aż nim żydzi ostatnie nie wezmą manatki!
 Ot co dziś mamy z ziemi!... ni miodu, ni wosku!...
 Sam byt nasz zagrożony, wisim jak na włosku!
 Próżne wszelkie, zabiegi, bo w ostateczności
 Sprzedadzą z licytacji nasze posiadłości
 (A o tym smutnym końcu żaden z nas nie wątpi).
 Czyliż więc mamy czekać, aż nim to nastąpi?
 Czyż nie lepiej skorzystać z zacnego Pfejfera,
 Który nam swe ramiona i kieszeń otwiera;
 Który nam, że tak rzekę, jest deską zbawienia...
 (Choć niemiec, lecz porządny człowiek, bez wątpienia!)
 Lepiej więc, żeby niemiec—jako mi się widzi...
 Kupił ziemię, niż mają rozszarpać ją żydzi...

Zawada aż podskoczył w górę na te słowa:
 —Jak on mówił—zawołał—co to za wymowa!...

Lecz pomimo tych pochwał,—szlachta coś marudzi:
 Marszałek się uskarża, że go ckli i nudzi,
 Kowadło się zamyslał, znów palce w ruch puścił;
 Cholewa, chociaż cezu z pułapu nie spuścił,
 Ale także palcami zwolna młynka kręci;
 Łatwo zgadnąć, że szlachtę sprzedaż bardzo nęci,
 Ale się jeszcze chwije, waży coś głęboko.
 Aż żyd, z szatańską miną przymrużywszy oko,
 Rzekł:—Tego z panów, który na sprzedaż się zgłosi,
 Pan Pfejfer najuprzejmiej na śniadanie prosi
 I razem dla zawarcia stosownej umowy...

Snać już nad siłę szlachty był ów bodziec nowy,
 Bo wnet się pochwyciono i—zdecydowano...
 Chytry Elku! nie darmo Bismarkiem cię zwano:
 Tyś wiedział, że szlacheckie serca nie z kamieni,
 Że nas najłatwiej zwalczyć... nadzieją pieczeni!...

Więc Marszałek zawołał: Co! co! na śniadanie!
 Spieszę! lecę! podpiszę!... niech się co chce stanie...
 —I my! i my!—krzyknęli... a Ryczywól rzecze:
 Panowie! w ręku Boga są losy człowiecze!...
 Nie widzicież, że sama Opatrzność nas wspiera,
 Dając nam niespodzianie zanego Pfejfera!
 Tak, panowie! Opatrzność zsyła go nam w darze,
 A więc na bok wahanie!... sam Bóg sprzedać każe!...
 —Jak on mówi! jak mówi niech go kaczka kopnie!

Rzekł Zawada—co powie—to jak biczem kropnie!...
Ręczę, że w krasomównstwie nikt go nie doścignie!...
—Panowie!—rzekł Marszałek—idźmy, bo... ostygnie!...

.
.



E P I L O G.



O dalszych bohaterów losach już niewiele:
Obij—boki pan Wacław wziął w swą kuratelę,
Za co niech będą tobie Wątrobianko, dzięki:
Bo czegoż-by nie zrobił Wacław dla twej ręki,
Którą wraz z sercem zyskał i nazwał cię żoną!
Więc zapłacił Pfejfera, i wieś zagrożoną
Ocalił od rąk Niemców. Sam w niej gospodarzy,
I taka dziś kwitnąca, jak nie pomną starzy,
Bo i gumna tam pełne i pełna obora,
A młyn na stawie miele z rana do wieczora:

Marszałek sprzedał Rurki i zamieszkał w mieście;
Żył dobrze i przejadał pieniądze... nareszcie
Gdy obaczył, że kieszeń wygląda mizernie—

Otworzył za ostatki mienia traktuernię...
Lecz mu każdy bankructwo rychłe przepowiada,
Bo Bura co zgotuje—sam najczęściej zjada...
Cholewa z przeciągami bawił się wytrwale,
Budował różne koła, kółka śruby... ale
Edissona naszego ktoś urzekł zapewne:
Bo ani korytarze, długie a przewiewne,
Które budował, ani różne kół postacie,
Ani nader dowcipne skrzydeł kombinacye
Nie chciały najmniejszego nadać kołom ruchu
Choć nie tracił nadziei, nie padał na duchu,
Aż ujrział dno kieszeni swojej pan Cholewa;
(Pieniądze na wiatr codzien leciały jak plewa
Nakoniec od przeciągów—ku większemu żalu—
Napytał reumatyzmu i—leży w szpitalu...

O poczciwym Kowadle krótko—węzłowato:
Stracił wszystko do grosza i już drugie lato
W dawniejszej swojej wiosce (dziś pana Pfejfera)
Na służbie ekonomicznej nieborak się stera.

Ryczywół także puścił pieniądze na marne,
Lecz wiedząc, że zdolności ma parlamentarne,
Że sztukę oratorstwa niezwykłą posiada,—
Nie wątpił, że się znajdzie dlań jaka posada,

Gdzieby przed publicznością przemawiał najczęściej;
A że los wielkim ludziom pomaga i szczęści,
Więc i Ryczywołowi dopisał w tym względzie:
Od roku przy fokzalu został na urzędzie;
Urząd bardzo ponętny, jak dla oratora:
Stać przy drzwiach fokzalowych z rana do wieczora;
Na nim mundur od guzów i galonów płonie
Mina gęsta, poważna... a gdy dzwon zadzwoni,
Wtedy z ust Ryczywoła oratorskie leci:
—»Panowie! na Terespol... Siedlce... dzwonek trzeci!!...«
A głosi to tak płynnie, z uczuciem, dobitnie,
Że Zawada, (ten służy dzwoniarem zaszczytnie)
Słuchając go, aż ręce do serca przykłada:
—Jak on mówi! jak mówi!... jak on rospowiada!...

K O N I E C.

Kijów.—Październik.
1881 r.



W księgarni i składzie nut
Leona IDZIKOWSKIEGO w Kijowie
Są do nabycia następujące książki:

—♦♦♦—
PODAREK
DLA
MŁODYCH GOSPODYN
KUCHARKA SZLACHECKA

Zawierająca około 3000 przepisów kuchennych, spiżarnianych, domowo-gospodarskich i toaletowych, łatwym sposobem opisanych i na długoletniem opartych doświadczeniu; dyspozycje obiadów na cały rok i na wielki post, wykwintnym, smacznym i prostym sposobem; ustawianie stołów na Wielkanoc, Wigilia Bożego Narodzenia, do śniadania gorącego i zimnego, Podawanie herbaty po angielsku, pieczenie wszelkiego rodzaju ciast, smażenie konfitur sposobem kijowskim i wiele innych.

PRZEZ

M. z K. MARCISZEWSKĄ.

(Litwinkę zamieszkałą na Ukrainie).

2 tomy w jednym Kijów 1893 Cena 1 r. 80 kop. w oprawie tekturowej 2 rs., w oprawie ozdobnej ze złoceniami 2 rs. 50 kop.

Wyjątki z powyższej książki sprzedają się osobno:

Przepisy pieczenia ciast wielkanocnych, t. j. bab różnego rodzaju placków, mazurków, oraz różnych innych ciast drożdżowych i nie drożdżowych, smażenie konfitur po kijowsku, przygotowanie różnego rodzaju wedlin oraz solenie ogórków doskonale, przez M. z K. Marciszewską. Zytomierz, 1859. Cena 75 kop.

Suche konfitury sposobem kijowskim przez M. z K. Marciszewską. Kijów. 1859. Cena k. 50.

MIEOŚNIK KONI

PRZEZ

SPIRYDYONA OSTASZEWSKIEGO.

2 Tomy. Kijów 1852. Cena rs. 3.

W księgarni i składzie nut
Leona IDZIKOWSKIEGO w Kijowie
Są do nabycia następujące
UTWORY POETYCZNE

WŁODZIMIERZA WYSOCKIEGO

BOCIAN dwie legendy. Kijów 1894.
Cena 50 kop.

LAS. Wydanie drugie. Cena 30 kop.,
w oprawie 60 kop.

LASZKA Wydanie trzecie. Cena 50
kop., w oprawie 1 rs.

OKSANA. Cena 60 kop., w oprawie
1 rs.

WSZYSCY za JEDNEGO

Fraszka.

Wydanie 4-te. Cena 40 kop., w oprawie 80 kop.

ZAKŁĘTA ŁZA Ballada i **NOWE DZIADY** żarcik poetycki.

Wydanie drugie. Cena 40 k., w oprawie 80 k.

Satyry i Bajki:

Satyry: 1. Gawęda wesoła. 2. Na odpuszcie. 3. Zuzanna.
4. Po obiedzie. 5. Sen Szlachcica Wołyńskiego. 6. La-
tający szlachcic. (Ballada). 7. Kiedyż. 8. Jedynaczka.
9. W stworzenia dniu. **Bajki:** 1. Wilk filozof. 2. Echo.
3. Lis i wół. 4. Pożar i latarnia. 5. Barany. 6. Kozły i wilk.
7. Wilk dyplomata. 8. Mały. Kijów 1894. Cena Rs. 1.

PG 7158 .W79 .W7 1898

C.1

Wszyscy za jednego :

Stanford University Libraries



3 6105 037 301 152

DATE DUE

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
STANFORD, CALIFORNIA
94305

